

Rozmowa z ☐Pawłem Solochem, ekspertem Instytutu Sobieskiego, byłym podsekretarzem stanu w MSWiA

W Polsce zapowiedziano wielkie manewry wojskowe. W ich trakcie żołnierze mają ćwiczyć radzenie sobie z problemami na granicy polsko-ukraińskiej. Jak właściwie wyglądają nasze przygotowania na ewentualne zagrożenie ze wschodu?

Oficjalnie w kraju mamy pół miliona rezerwistów. Ale większość z nich nie ma żadnego przeszkolenia wojskowego, nie nadają się więc do wysłania na front. Trzeba by ich kilka miesięcy uczyć. Nawet jeśli zaognianie konfliktu trwałoby dwa miesiące, to w takim czasie nie można wyszkolić żołnierza. To w czasie II wojny światowej w Armii Czerwonej szkolono żołnierzy sześć tygodni i wysyłano na front. Tyle że znali oni tylko podstawy musztry i potrafili strzelać z karabinu, to nie byli wykwalifikowani żołnierze.

[mc4wp_form id="84"]

A kiedy na przykład mogą zarekwirować nam samochód na potrzeby wojska?

Może się to odbyć na drodze przymusowej, ale tylko w razie jednego ze stanów nadzwyczajnych, klęski żywiołowej czy stanu wojny. Wtedy zawieszona jest część praw obywatelskich. Z tym że to nie jest najlepsze rozwiązanie. W wielu państwach zachodnich oddawanie sprzętu ma charakter dobrowolny – właściciele wcześniej deklarują, że w przypadku klęski żywiołowej czy zagrożenia swoje środki oddają do dyspozycji władz, a w zamian za to mogą mieć pewne ulgi podatkowe. W Polsce te rzeczy są niedopracowane.

Właśnie, państwa zachodnie. Jak na ich tle wyglądają nasze możliwości mobilizacyjne?

Jesteśmy w ogonie Europy, mamy jeden z najniższych wskaźników mobilizacyjnych, czyli procent ludności, którą możemy w razie zagrożenia powołać pod broń. Jedynie Czechy i Luksemburg są niżej od nas. Dla przykładu Finowie mają dziesięciokrotnie większy wskaźnik mobilizacyjny niż Polska.

Dlaczego jest tak źle?

To skutek sprofesjonalizowania naszej armii w błyskawicznym tempie. W Niemczech

czy we Francji ten proces trwał pięć lat albo dłużej.

Z obroną cywilną też jest tak źle?

Jest nieco lepiej, dzięki istnieniu Ochotniczej Straży Pożarnej. Minusem jest tylko to, że działa ona głównie na terenach wiejskich czy dalekich przedmieść. W wielkich miastach formacji obrony cywilnej nie ma. Dawniej takie formacje istniały przy zakładach pracy i były gotowe do działania w razie katastrofy przemysłowej, ale mówiło się, że w razie czego mogą pomagać ludziom w mieście. Dziś w dużych miastach możemy liczyć tylko na siły zawodowe, a one w wypadku wielkiego zagrożenia mogą okazać się niewystarczające.

Źródło: Rzeczpospolita. [Czytaj dalej...](#)